

665

Brel

W

WITRYNIE sklepu muzycznego opodal plac Louise ogromny, zawierający kilkanaście płyt album Jacqu-

esa Brela o oszałamiającej cenie kilku tysięcy franków. W stoisku muzycznym supermarketu „GB” rzuca się w oczy przede wszystkim komplet płyt Jacquesa Brela. W kiosku na stacji metra... W siedem lat po śmierci autora „Amsterdamu”, „Jefa” i „Bigotek” jego popularność w Belgii nie tylko nie maleje, ale zdaje się rosnąć. Również w „Płaskim kraju” — Flandrii, gdzie w swoim czasie za piosenkę „Flamandowie” został po prostu wyklejony i gdzie formalnie zabroniono mu występów.

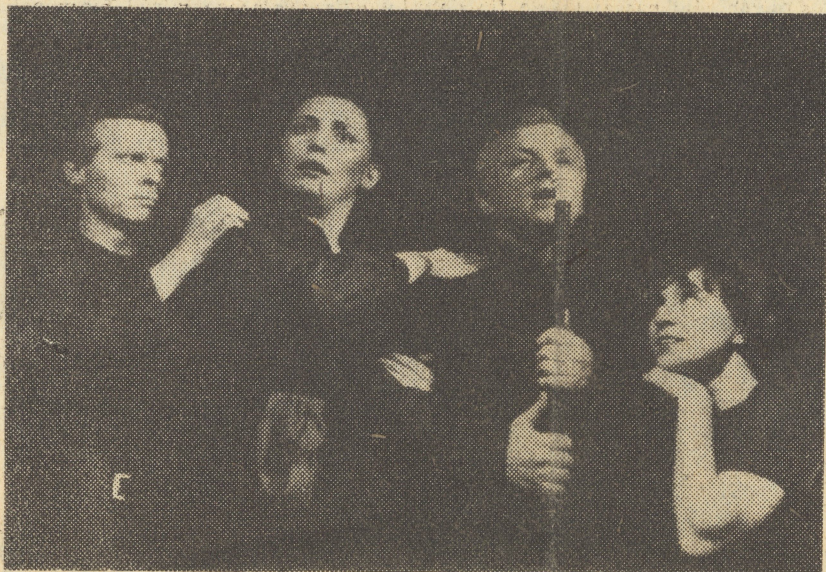
Sięgam po te płyty wybierając się tydzień po obejrzeniu w warszawskim teatrze „Ateneum” przedstawienia „Brel”, do brukselskiej siedziby Międzynarodowej Fundacji Jacquesa Brela i siłą rzeczy wracam pamięcią ku tamtemu spektaklowi. A także znacznie dalej. Do roku 1967 i warszawskiej Sali Kongresowej, w której wówczas wystąpił z recitalem.

Cieszył się już ogromną sławą. Równą Aznavourowi, Becaud, Brasseur. A mimo to jedna trzecia widowni świeciła pustką. Mówiono — jest wspaniały, ale zbyt trudny w odbiorze. Zbyt wiele wymaga od widza, to dlatego. I było w tym mówieniu trochę prawdy. Na jego koncercie nie można było zwyczajnie odprężyć się, odpocząć, zapomnieć. Wojciech Młynarski, tłumacz jego piosenek i współreżyser przedstawienia w „Ateneum”, napisał po latach, iż pod koniec tamtego recitalu czuł się strasznie zmęczony. Nie dziwię się. Odczuwałem wtedy podobnie. A zmęczenie powodowało ogromne napięcie, z jakim słuchało się tego wysokiego, chudego Belga, interpretującego swoje piosenki raz prawie szeptem, innym razem na granicy krzyku. W pocie i z chrypieniem gardła. I z pasją. Z szaloną, niemal materializującą się pasją, nie pozwalającą oderwać od niego wzroku nawet na chwilę.

Tak. Kto miał szczęście widzieć Brela w Kongresowej, ten widział go już będzie zawsze. I będzie wielokrotnie podążał wyobraźnią do portu wielkiego jak świat, co się zowie Amsterdam, i do marynarzy, którzy



Fot. Autor



Michał Bajor, Agnieszka Fatyga, Marian Opania, Grażyna Strachota w „Brelu”.
Fot. Zygmunt Rytka

od lat pieśni swe muca tam. Podobnie jak Wojciech Młynarski, który bodajże wtedy, w tej kongresowej sali postanowił, że kiedyś, kiedyś zmierzy się z poezją Jacquesa Brela. I próbował tego przez osiemnaście lat. I dopiął swego.

„Brel” w „Ateneum”. Mała scena, minimum scenografii, pięcioro śpiewających aktorów: Agnieszka Fatyga, Grażyna Strachota, Michał Bajor, Marian Opania i Emilian Kamiński (współreżyser spektaklu). Czy dostarczają tych samych emocji? Brel śpiewał tak, a nie inaczej, gdyż nie było to zwykłe śpiewanie. On miał parę spraw do załatwienia. Parę problemów, którymi nawet nie tyle chciał, ile musiał podzielić się z innymi. Parę spostrzeżeń na temat życia, miłości, przyjaźni, starości, śmierci wreszcie, z którymi — uważał — nie wolno mu było pozostać samemu. A że ludzie początkowo nie pragnęli go słuchać, dlatego jego piosenki stawały się coraz bardziej drapieżne, brutalne, niekiedy wręcz bezwzględne i okrutne. Nawet wte-

dy, gdy tyczyły miłości i przyjaźni — wartości cenionych przezeń chyba najwyżej; o tej samej miłości i przyjaźni potrafił jednocześnie pisać i śpiewać w tonacji najcięplejszej.

Może dlatego, iż wybierając pewnego dnia samotną, niełatwą drogę potrzebował ich najbardziej?

Brel urodził się w 1929 roku w Brukseli. Ojciec bogaty właściciel fabryki, solidnie przygotował go do życia. Dał mu wykształcenie, pracę w swojej firmie i być może zadbał nawet o to, aby syn właściwie się ożenił — będąc człowiekiem bardzo młodym Jacques miał już żonę i dwoje dzieci. Któregoś dnia porzucił wszystko i wszystkich (zaznaczając jednak w liście do żony, że nie opuszcza jej na zawsze). W tym samym liście napisał, że nie chce od oia żadnych pieniędzy. Pojechał do Paryża, by zrobić karierę poety i pieśniarza. Początkowo szło mu to niezwykle opornie. Kilka lat wegetował zaspokajając ponoć niejednokrotnie głód bułką z serem i szklanką

wina. Potem karta odmieniła się. Wygwizdywany przez mieszczańską publiczność małych knajp, w których, ku jej oburzeniu, pozwalał sobie sztydzić z tego, co mieszczaninowi najbliższe, zetknął się wreszcie z właścicielem „Olimpii” — Bruno Coquatrixem. A on postanowił zaryzykować i dać mu szansę.

Wygrali obydwaj. Zblazowana publiczność „Olimpii” ożyła. A wygwizdywany, przeklinany Brel w jeden wieczór stał się gwiazdą. I pozostał nią do swoich ostatnich dni. I jest nią nadal. I będzie jeszcze długo. Również w Polsce. Między innymi dzięki owej piątce aktorów z „Ateneum”, która przełożone przez Wojciecha Młynarskiego teksty nie tylko odczytuje znakomicie, ale także interpretuje prawie nie mniej przekonująco, niż czynił to sam ich autor. Zwłaszcza dzięki Michałowi Bajorowi i Marianowi Opani, w wykonaniu których poszczególne utwory przemieniają się w zwarte, zamknięte minidramaty, gdzie żadne słowo nie pojawia się przypad-

kiem. Tak jak nieprzypadkowa jest kompozycja całego spektaklu. Najpierw piosenki obyczajowe, wśród nich słynni, wymienieni już „Flamandowie” doprowadzający niegdyś do szwelskiej pasji mieszkańców Flandrii.

Potem chwila nostalgicznej refleksji o „Płaskim kraju”, który Brel kochał chyba bardziej niż ci zabraniający mu w nim występów. I wreszcie pieśni o przyjaźni, sensie życia, wobec którego Brel przyjmował postawę — jak powiedział niegdyś w jednym z wywiadów — „nie wiem, ale spróbuję wiedzieć”.

Siedziba Międzynarodowej Fundacji Jacquesa Brela mieści się na bulwarze Jardin Botanique. W podziemnym pasażu handlowym. Siedziba, to może zresztą zbyt szumnie powiedziane. Po prostu kilka nowocześnie zaprojektowanych i urządzonych pomieszczeń. Od frontu galeria wystawowa, w głębi kilka wydzielonych pokoi. W jednym można posłuchać płyt nagranych przez Brela, w innym obejrzeć filmy, w których grał, które reżyserował, do których pisał scenariusze oraz filmowe rejestracje jego koncertów. I jeszcze biuro, biblioteka. Fundacją kierują córki artysty: Chantal, France i Isabelle, wspólnie z jego bratem Pierrem. Podstawowy ich cel — zgromadzenie możliwie pełnej dokumentacji dotyczącej twórczości, życia i w ogóle działalności ojca i brata. Dotarcie do tych wszystkich faktów z jego życia, które kształtowały go i inspirowały.

Oczywiście, nie jest to cel sam w sobie. — Jacques Brel bowiem — uważa jego córka France — to nie tylko zbiór tekstów i piosenek. To również niezwykła wrażliwość. Ona stała się powodem utworzenia fundacji. Utworzyliśmy ją po to, by tą jego najważniejszą cechą obdarowywać innych.

W jaki sposób? Przygotowując opracowania, katalogi, informacje o pracy i życiu Brela, a ponadto czy może przede wszystkim wspierając młodych poetów, muzyków, malarzy i innych twórców wyróżniających się podobną jak on wrażliwością. Organizując im wystawy, koncerty, wieczory autorskie. Szukając nowych talentów.

Międzynarodowa Fundacja Jacquesa Brela powstała w końcu 1981 roku, a więc stosunkowo niedawno. Jej działalność spotyka się od samego początku z życzliwym zainteresowaniem w wielu krajach, przede wszystkim zachodniej Europy.

MIECZYSLAW SZCZEPANSKI